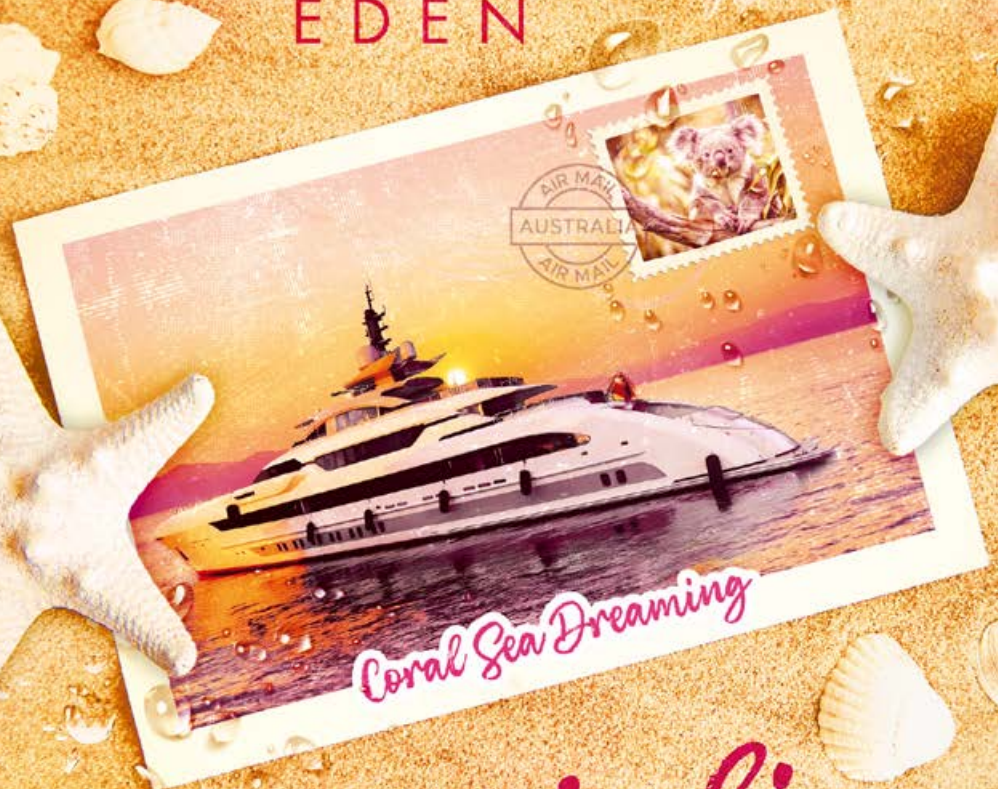


GRETA
EDEN



Na fali pożądania

To miała być tylko wycieczka...

Rebelle 
WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Greta Eden
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Justyna Szymkiewicz

Korekta językowa:
Ewa Woźniak

Korekta po składzie:
Ewelina Dobosz, Kamila Polańska

Przygotowanie okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @bermetycznie_zamkniete

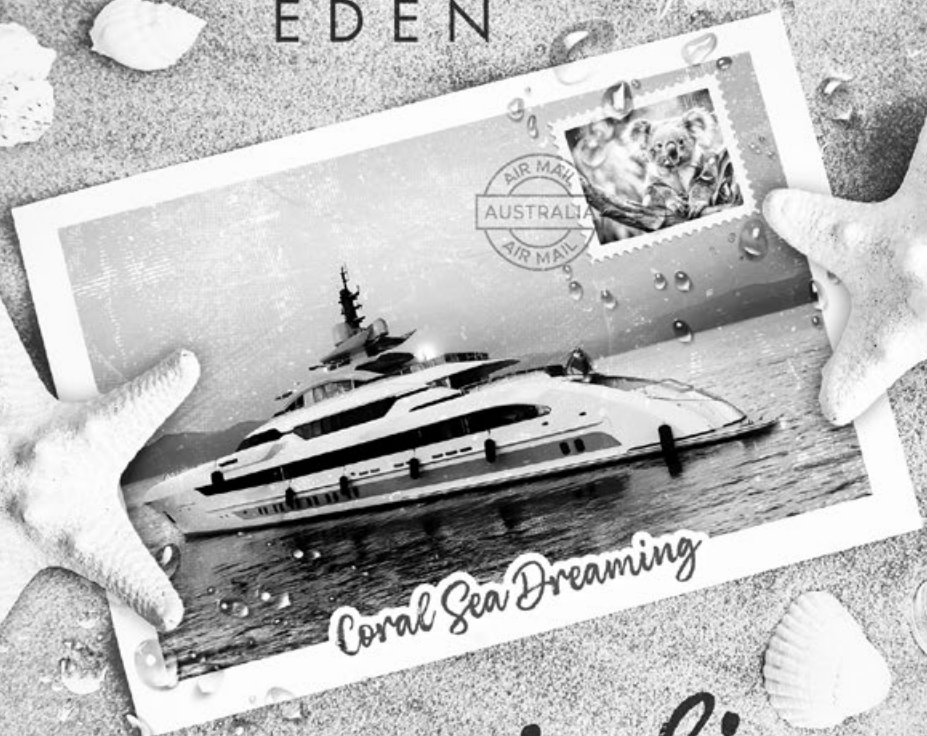
Skład i przygotowanie ebooka:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-95-1


WYDAWNICTWO

GRETA
EDEN



Na fali
pożądania

Rebelde ♡
WYDAWNICTWO



Prolog

Palcami z ust, ustami z palców, ustami z ust

Wszystko ma swój początek i koniec. Czy to smutny, czy radosny, każda rzecz zmierza do nieuchronnego końca. Mój romans zaczął się prozaicznie – od okazania wsparcia i wysłuchania. Miłego słowa, kiedy brakowało mi go w nieszczęśliwym małżeństwie. Tak, byłam żoną, której mąż kochał pracę bardziej niż mnie.

Początek romansu był niewinny – śmiechy, pogadanki i dwuznaczne żarciki, które można by uznać za flirt albo przyjacielskie przekomarzanie. Mojego życia intymnego z mężem nie warto nawet wspominać, poza tym, że w oczach kochanka jawiłam się jako sucha gąbka, chłonąca wszystko, więc tak jakby byłam sama sobie winna. Łykałam jak pelikan każde serwowane mi zapewnienia. Niemniej dzięki niemu rozumiałam, że nie jestem zimną rybą w aspekcie seksualności, a zdrową kobietą z potrzebami, którą ktoś umiejętny potrafiłby rozbudzić.

Kontakty w pracy to jedno, ale później przeniesiliśmy się na prywatne e-maile, rozmawialiśmy o muzyce, odległości Ziemi od Słońca, zainteresowaniach, literaturze. Poskarżyłam się w przypływie odwagi po piwie, że mąż mnie nie zadowala. I chyba to okazało się przełomem w naszym „związku”. Aż przyszedł dzień, w którym otrzymałam poniższego maila.

Od: sunisthetreasure@gmail.com

Do: youaremytreasure@gmail.com

Temat: 3:18

Ponad 14 godzin później wrażenia straciły odrobinę na ostrości. Postaram się jednak wiernie odtworzyć przebieg zdarzeń ;P :*

Obudziłem się, kiedy zegarek w telefonie wskazywał 3:18. Standard... – pomyślałem sobie, teraz pewnie do rana nie uda się zasnąć. Po chwili jednak zapadłem w półsen, półjawę, zupełnie świadomy miejsca i czasu, w którym się znajduję, a jednocześnie... tak nierealnie.

Dostałem list. Nie pamiętam dokładnie, jaka to była firma, jakaś bardzo znana marka (z czym to ma związek, nie pytaj, bo nie wiem). Otwieram. Odczytuję list na głos, nie mam pojęcia, czy byli jacyś słuchacze, z treści listu wynikało mniej więcej – „wszystko, co wydarzyło się do tej pory, jest niczym, nie ma znaczenia... pragnę innej kobiety...”.

Potem już jesteś tylko Ty i jestem ja. Bardzo blisko, zmysłowo, czuję zapach Twojej skóry, włosów. Cudowne ciepło ciała. Nic innego nie ma zupełnie znaczenia. Wypełnia mnie niesamowita radość wynikająca z samego dotyku, pocałunków. Chyba nie umiem tego opisać nawet w dziesięciu procentach. Tam w środku... we mnie działo się coś niesamowitego. Nigdy nie sądziłem, że można coś takiego czuć. Nie był to tradycyjny seks, jedynie się dotykaliśmy, całowaliśmy, cieszyliśmy się bliskością. To było lepsze niż seks ;P
EUFORIA. Zdecydowanie!

Moje ubogie słownictwo niestety nie oddaje nawet cienia intensywności tego, co się działo. Nawet teraz na wspomnienie tej bliskości przechodzą mnie dreszcze!

Najlepsze jest to, że to się nie skończyło. Nie było wielkiego finału czy też nagłego przebudzenia. Spojrzałem na zegarek, minęła godzina! Powoli mój organizm wracał do normalności, jednak na samo wspomnienie wydarzeń sprzed chwili miałem natychmiastową erekcję ;P I Ty byłaś tego powodem. Po kolejnych kilkunastu minutach wyciszenia po prostu zasnąłem i spałem do rana ;) Obudziło mnie Słoneczko ;*

PS Wiem, że to nie był sen, to było coś innego... (mam nadzieję, że nie weźmiesz mnie za wariata ;P). Obawiam się, że Ty coś we mnie obudziłaś. Coś, czego nie znam, i nie wiem, czego się spodziewać. A może to tylko moja wyobraźnia :) Chyba zostałem wyleczony z bezsenności ;P Dzisiaj się okaże. Tak czy inaczej ta noc dostarczyła mi niesamowitych wrażeń :*

Dziękuję, życzę miłego wypoczynku w weekend, mam nadzieję, że jakoś dasz sobie radę beze mnie. Ja sobie radzę, gdyż jesteś obecna w moich myślach nieustannie :*

Myślicie, że padłam mu w ramiona, bo mi maila napisał? Nie od razu Rzym zbudowano. Jeszcze wtedy nie miałam śmiałości i nadal uważałam go za przyjaciela.

Odpisałam więc tak:

Od: youaremytreasure@gmail.com

Do: sunisthetreasure@gmail.com

Temat: RE: 3:18

Fenomen świadomego snu jest cudowną rzeczą, co wiem z doświadczenia.

Wiesz już, co czułam po „wannie”. Niesamowite wrażenie dotyku, zapachu, ciepła. Nie chodzi o sam seks, ale

o poczucie bliskości z innym człowiekiem. Pofilozofuję, ale powiem, że sny są odzwierciedleniem naszych pragnień, bez względu na to, czy ta druga osoba jest naszą/naszym ślubnym, czy też kimś zupełnie innym, a może po prostu nie możesz dojrzeć jej/jego twarzy. Instynktownie chcemy tego i pragniemy. I to się nazywa świadomy sen. Nie miałam go już dawno i bardzo żałuję. Liczę, że może znów mi się przytrafi. W takich snach można spełnić swoje marzenia, fantazje.

Myślę, że obojgu nam brakuje prawdziwej bliskości. Po prostu przytulenia się do tej drugiej osoby, bycia z kimś. Wiem, że brak seksu dla faceta jest dość trudnym przeżyciem – tzw. „sperma wylewa się uszami”, a większość myśli koncentruje się tylko i wyłącznie na jednym. A że to byłam ja? Sądzę, że to akurat nie ma znaczenia. Poza tym, że po prostu dużo rozmawiamy, otwieramy się dla siebie – i to robi swoje. Wciąż jestem gdzieś blisko, a może za blisko...?

Podobno najseksowniejszy w mężczyźnie jest jego umysł. Skłaniam się ku tej teorii. Jesteś wspaniałym facetem! Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

Nie wiem, czy budzę w Tobie coś nowego, nieznanego, czy też coś, co już w Tobie było, ale gdzieś na chwilę zaginęło, ale jeśli dzięki temu potrafisz przespać całą noc i jesteś wypoczęty, to jestem za ;) A może potrzebujesz wyrzucenia z siebie odrobiny tej czułości?

Wiem, że jesteś zmęczony i zniechęcony próbami, ale... zawsze będę Cię namawiać na bliskość z Twoją Anią, bo to właśnie ją wybrałeś sobie na partnerkę życiową, z tego czy innego powodu – to ona powinna być Słoneczkiem Twojego życia. Musisz odnaleźć swoją Anię na nowo. Jeśli będziesz potrzebował, dam Ci do tego energię. Od tego są przyjaciele.

Uważam, że oboje musimy zacząć spełniać swoje marzenia, zacząć zmieniać swoje podejście do związków, do tego, czego oczekujemy od swoich partnerów. Inaczej będziemy się nakręcać na siebie wzajemnie.

Sen musiał być fascynujący, ale to tylko sen. Działająca prawdziwo wyobraźnia – chyba...

Przez niemal rok mieliśmy romans. Głównie wirtualny, zapisany w archiwum programu Teams, z ogromną liczbą ikonek. Różnych ikonek, pośród których przeważała „:*)”, czyli pocałunek. Zanim Paweł pocałował mnie pierwszy raz, minęło sporo czasu, a i to zaskoczyło nas oboje. Zostaliśmy po pracy, by skończyć projekt strony internetowej dla klienta. Z perspektywy czasu myślę, że to ukartował, ale wtedy zadziało się jak w książce. Pochyliłam się nad jego ramieniem, by zerknąć na ułożenie zdjęć, on odwrócił głowę w moją stronę, a nasze wargi się musnęły. MAGIA. Poczułam to w każdej komórce ciała. Od tamtej pory ukradkowo kradliśmy sobie pocałunki, chwile zapomnienia w swoich ramionach i orgazmy.

Rozwiodłam się, wiedząc, że nie dam rady tworzyć życia z człowiekiem, dla którego jestem weekendowym priorytetem. Nie zrobiłam tego, ponieważ uwikłałam się w romans i liczyłam na „żyli długo i szczęśliwie”, ale przez to, że po siedmiu latach małżeństwa nie widziałam dla nas przyszłości.

Żadnej.

Dla eksmeża liczyła się firma, pieniądze i religia. Dla mnie poszukiwanie TEGO ulotnego czegoś, czego pragnęłam najbardziej na świecie. Bezinteresownego, szczerego i zapierającego dech w piersi uczucia, o którym rozpisywano się w książkach.

Pragnęłam doświadczyć prawdziwej miłości.

Tak więc trzeciego grudnia pamiętnego roku wyszłam z budynku sądu i odetchnęłam pełną piersią. Odzyskałam WOLNOŚĆ! Mogłam planować swoje życie, nie bacząc na oczekiwania matki, eksmeża czy naszych wspólnych, „niezwykle religijnych” znajomych. Koniec oszukiwania.

Po dwudziestu siedmiu latach zaczynałam żyć dla siebie. Moje szczere oświadczenie matce, że „dałam jej dwadzieścia siedem lat spełniania oczekiwań innych i nie wyszło, jak chciała, a teraz czas na moje rządy”, nie wywołało fali łez, a jedynie ciężkie westchnienie pogodzenia się z sytuacją.

Euforia zachłyśnięcia się pozytywnym obrotem zdarzeń potrwała do dziesiątego grudnia. Potem sprawa się ryła w najgorszy z możliwych sposobów, gdy żona kochanka stanęła w progu biura, w którym oboje pracowaliśmy. Serce mi się zatrzymało, by pogalopować wściekle sekundę później, gdyż wiedziałam już, patrząc na jego twarz, że przegrałam i to nie ja będę trwać u jego boku. W swojej naiwności wierzyłam, że jak wyjdziemy na zewnątrz, to wysłucham jej żali i rozejdziemy się każde w swoją stronę.

I poniekąd tak się stało. Patrzyłam, jak oboje odchodzili, trzymając się za ręce. Zrozumiałam, że mimo zapewnień o miłości, wspólnym zrozumieniu, przyjaźni i połączeniu dusz, on nigdy od niej nie odejdzie. Zawsze ustawi ją na piedestale, ponad wszystko. Jakąkolwiek rolę odegrałam w tym układzie, nie zanosilo się, żebyśmy naprawdę stworzyli wspólną przyszłość.

Coś we mnie umarło. Byłam głupia, bo się zakochałam, chociaż zdawałam sobie sprawę z konsekwencji i z tego, że ranię innych.

Na drżących nogach wróciłam do biura i komputera, czując na plecach ciekawskie spojrzenia współpracowników. Okienko przychodzącego powiadomienia na komunikatorze dało mi znać, że szef chce mnie widzieć u siebie. Zablokowałam stację roboczą i poszłam na drugie piętro. Wzięłam parę oddechów, nim zapukałam do drzwi.

– Zapraszam! – Padł głośny rozkaz.

Z ciężkim sercem i palącą w gardle gulą zamknęłam za sobą drzwi.

– Siadaj.

Opadłam na miękką skórzaną kanapę, patrząc wyczekująco na naszego szefa – Roberta.

– Ostrzegalem cię.

Przymknęłam powieki na sekundę.

– Wiem. – Odwróciłam wzrok w stronę okna.

– Które z was mam zwolnić?

Ze strachem zerknęłam na niego, bo taki scenariusz nie przyszedł mi do głowy, kiedy mózg bujał w chmurach.

– Nie bądź zdziwiona – pouczył sucho. – Szczerze? Potrzebuję was pracujących razem, ale w tej sytuacji to chyba nierealne?

– Potrafię się zachować profesjonalnie – zapewniłam.

Jego niezwykle wymowne spojrzenie wskazywało, że nie wierzy w ani jedno słowo.

– Nie zmuszaj mnie, żebym między wami wybierał.

Chociaż tyle, że nie powiedział, że Paweł jest ważniejszy.

– Tak, wiem, jestem na straconej pozycji.

Jego niebieskie oczy wręcz przewiercały mnie na wylot.

– Pozwolenie dwojgu moim najlepszym ludziom na romans było fatalnym pomysłem. Ty się chociaż zebrałaś do kupy i rozwiodłaś, ale on...

Odgarnęłam włosy nerwowym gestem, wpadając mu w słowo:

– Tak, wiem, zrozumiałam.

– Nie życzę sobie w biurze żadnych scen. – Padł kolejny suchy rozkaz.

Mimo rozżalenia spojrzałam na niego z irytacją.

– Jemu to powiedz! – wycedziłam. – Nie ja przyszedłam z żoną.

– Z nim też porozmawiam – zapewnił. – Skąd się dowiedziała?

Opadłam na siedzisko, przeczesując włosy.

– W sobotę spotkaliśmy się na mieście. Od paru dni łąził w złym humorze, więc chciałam go pocieszyć i pogadać. Nalegałam, żeby go odwiedzić do domu i... zamiast jak zwykle pojechać prosto z Kleszczowej w Solipską do Fasolowej, to skręciłam w Ryzową. – Serce znów mi galopowało na samo wspomnienie. – Stała na przystanku, czekając na niego, kiedy ją mijaliśmy. A dzisiaj to...

Robert wyglądał na zaskoczonego. Siedział w ciszy długą chwilę. Zbierało mi się na płacz. Zacisnęłam dłonie, które drżały coraz mocniej. Wręcz dygotałam, reagując na stres z opóźnieniem.

– Ty kretynką jesteś – podsumował bez emocji. – Na co liczyłaś? Od początku mówiłem, żebyś się wzięła w garść, przestała mazać i zakończyła ten związek.

– Robert – szepnęłam płacząc.

– Ostrzegałem, prosiłem! – pieklił się. – A jedynie żałuję, że nie zrobiłem nic, żeby wam obojgu wybić ten romans z głowy. Ale, Elka! Wam się dywan pod nogami palił, wystarczyło, że na siebie popatrzyliście. – Pociągnęłam nosem, usiłując odgonić łzy. – Trzymaj się od niego z daleka, a to, co musisz, przekazuj przez Teams. Zrób, co masz zrobić, i idź do domu.

Przepłakałam parę dni w czterech kątach, ale do pracy przychodziłam jak gdyby nigdy nic. Koleżanka dawała mi znać, że w kuchni „czysto” i mogę sobie zrobić kawę. Nie wyściubiałam nosa ze swojego pokoju, jeśli nie było to absolutnie konieczne, a drzwi pozostawały zamknięte. Usiłowałam się odciąć od wszystkiego, co nie wiązało się z pracą.

Dwa tygodnie po całej aferze rankiem sprawdzałam maile na prywatnej poczcie i zamarłam z ręką nad lewym przyciskiem myszki.

Czemu jego żona wysłała do mnie maila?

Nie wiedziałam.

Czemu zaczęłam z nią rozmawiać?

Też nie potrafiłam wytłumaczyć.

Byłam pewna tylko jednego – nie ja pierwsza i nie ja ostatnia. Wychodziło na to, że miał romans ze mną, a potem jeszcze z jakąś kobietą. Trzy jednocześnie. Może opacznie rozumiał ideę pary? Miał parę kochanek jednocześnie? Przede mną było ich kilka i żona zawsze mu wybaczała, ponieważ, jak sama do mnie pisała, „kocha się nie «ponieważ», ale «pomimo wszystko»”. Wyszło jednak na to, że sytuacja ze mną okazała się pierwszą tak poważną, że mówił o rozwodzie.

Rozmawialiśmy ze sobą ponad tydzień, wymieniając się spostrzeżeniami, aż w końcu doszło do ustawionej konfrontacji nas trojga i wzajemnych oskarżeń. Oszukiwaliśmy się we troje, a jak się okazało, znalazła się jeszcze ta czwarta, do której się przyznał, gdy mu w końcu puściły emocje. Trzasnął drzwiami, wyszedł, a my po krótkiej rozmowie też się rozeszliśmy, każda w swoją stronę.

Dopiero rankiem jego żona napisała do mnie na Teams.

Anna: Podejrzewam, że pewnie od rana Ci już pisze nowe maile, może znowu zmienił zdanie?

Ela: Nie. Nie odzywa się do mnie ani słowem, nawet nie zszedł na dół do kuchni – musiałby przejść obok mojego pokoju, a ja nie zamykam już drzwi. Aniu, wiem, że mi nie wierzysz, ale nie będzie żadnych powrotów, tłumaczenia, nic a nic. Ja czuję się oszukana i przykro mi, że Ci kłamałam. Najbardziej mi głupio z powodu tego, co wczoraj powiedziałam, że uważam, że i tak mu wybaczysz. Żadne słowa nie oddadzą tego, co czuję.

Anna: Uwierz, że mnie również jest przykro. To, że wczoraj nie potrafiłam uronić ani jednej łzy, nie oznacza, że nie czuję płaczu w środku. Wszystko we mnie popękało. Czemu Ci głupio, że ja i tak mu wybaczę? Skąd w ogóle to wiesz? Nie wiem, co będzie w tej chwili, jutro, za tydzień czy miesiąc. A on chyba i tak nie ma pojęcia, czego chce.

Ela: Takie miałam wrażenie, gdy rozmawialiśmy, że wybaczysz – może mylnie, sama już też nie wiem, co myśleć. Pótprawdy, niedopowiedzenia, aż nie do uwierzenia. Nawet to z wczoraj, że podjął decyzję, ale nie umie powiedzieć jaką. Zastanawiam się, czy jednak nie wziąć urlopu i nie wyjechać gdzieś sama ze sobą, przestać na chwilę myśleć i analizować, bo głowa mnie już boli od tego.

Anna: Nie wiem, co mam sądzić o tym wszystkim. A z tym urlopem – pomyślałam dokładnie to samo... Nie wiem, czy jest ktoś inny, nie zastanawiam się już. Zaskakujące jest to, że nie czuję do Ciebie złości, gniewu, nienawiści. W zasadzie nic poza żalem i smutkiem. Może to właśnie jest moja naiwność? Potrafię Cię zrozumieć, siebie. Ale czy jego? Może w końcu będzie tak, że każde z nas zostanie samo... Czy którekolwiek będziemy szczęśliwe?

Na tym skończyłyśmy nasze rozmowy – na zawsze. Z odrobinę lżejszą duszą, ale nadal z poczuciem bycia naiwną gęsią, tak zdesperowaną potrzebą czułości i miłości, że pozwoliłam sobą manipulować słowami „mamy to pod kontrolą”. Gównu mieliśmy pod kontrolą! On miał plan, jak mnie złamać, jak nakręcić, bym sama do niego przyszła. Uwiodł mnie moimi własnymi słowami. Może i zaczęło się niewinnie od rozmowy o problemach, ale dzięki temu wiedział dokładnie, czego potrzebuję i pragnę.

Ale seks... tego nie dało się udawać. Czuły, namiętny, spontaniczny. Taki, o jakim piszą w książkach, angażujący ciało, umysł i duszę. Gdy pozwolisz sobie na to, by się całkowicie otworzyć przed drugą osobą, dzieje się... MAGIA. W tym wypadku – czarna magia, manipulacja.

Od słowa do słowa romans się skończył i zostały tylko zimne, służbowe stosunki, a rozmowy nie wykraczały poza tematy projektów dla klientów. Odeszłabym z firmy, gdybym mogła, gdybym wtedy rozumiała, że gdzieś tam czeka na mnie coś lepszego.

Wytrzymałam dziesięć miesięcy, które wydawały się wiecznością. Robert przyjął moje wypowiedzenie bez słowa komentarza i oznajmił mi, że mam ponad sześćdziesiąt dni urlopu do wykorzystania i trzy miesiące wypowiedzenia. Łaskawie się zgodził, bym nie musiała pracować w tym

czasie i zapłaci mi jak za urlop. Jego obojętność po siedmiu latach wspólnej pracy rozwaliała mnie na atomy.

Wyżaliłam się przez telefon cioci, która od dwudziestu lat mieszkała w Australii, a zwrotnie usłyszałam:

– Wsiadaj w samolot!

Po przejrzaniu stanu posiadanych po rozwodzie oszczędności doszłam do wniosku, że w sumie dlaczego nie?

Australio, przybywam!



Rozdział 1

*Nigdy, przenigdy nie żałuj, że cokolwiek zrobiłaś,
jeśli robiąc to, byłaś szczęśliwa*

Ela

Dwadzieścia siedem godzin.

Dwadzieścia siedem godzin!

Lot do Sydney z przesiadką w Dubaju trwał dwadzieścia siedem godzin.

Nie wiem, czy w jedzeniu podawali jakieś leki na uspokojenie, czy co, ale po posiłku zachciało mi się spać. I co dziwne, obudziłam się krótko przed lądowaniem w porcie przesiadkowym. Niby miałam cztery godziny na złapanie kolejnego samolotu, ale drżałam wewnątrz jak osika, że nie zdążę i odleci beze mnie. Strasznie głupie, biorąc pod uwagę fakt, że wielokrotnie nawoływano pasażerów do bramek, za którymi upychano wszystkich do maszyn.

Wystarczyło mi nawet czasu na kupienie sobie dwóch magnesów i butelki wody, która okazała się najdroższą, jaką kiedykolwiek wypięłam. Niemniej ugasiła pragnienie, tak samo jak zrobiłaby to kranówka. Nie pozwolili mi jej jednak zabrać na pokład samolotu do Sydney. Innym też zabrali, a to kanapki, a to picie, mimo że kupione w Dubaju. Ponoć taka procedura.

Po godzinie od startu podano nam posiłek. I jak poprzednio zrobiłam się śpiąca. Coś na bank dosypywali do jedzenia, bo to wydawało się aż nie-realne, że nagle wszystkich zmorzyło do snu. Do tego wygaszono światła,

a sufit imitował teraz niebo pełne gwiazd. Odpadłam, nawet nie wiedząc kiedy. Obudziłam się niecałe dwie godziny przed lądowaniem.

Co dziwne, tym razem nikt nie wstał i nie biegł do wyjścia. *Cud jakiś czy co?* Wszyscy mieli dość po czternastu godzinach w fotelu. Całkiem wygodnym, ale nadal. Samolot opuszczaliśmy spokojnie, pogrążeni we własnych myślach. Żadnej bieganiny i przepychania, kto szybciej. Kolejka do kontroli granicznej zabrała mi ponad godzinę i tak zrobiła się niemal dwudziesta, gdy wyszłam do hali przylotów.

Zmęczona, spocona i wyglądająca jak nieszczęście, rozglądałam się za ciocią, której nigdzie nie dostrzegałam. W chwilowej panice zerknęłam na telefon, ale on, jak na złość, nie łapał żadnej sieci. Żeby nie stać na środku jak kretyńka, przeszłam do krzesełek i klapnęłam na jedno z nich, by zrestartować urządzenie. Kolejne minuty zajęło mi podłączenie do bezpłatnej sieci Wi-Fi lotniska. Dopiero wtedy dostałam kilka wiadomości.

Ciocia: Kochanie, bardzo boli mnie biodro.
Poprosiłam Justina, żeby Cię odebrał.

Justin? Jaki Justin? Nic mi nie przychodziło do głowy, aż doznałam ośnienia. Jej sąsiad! Budowlanec Justin. *Tylko jak wygląda Justin?*

Ja: Nie wiem nawet, jak on wygląda!

Ciocia: Przejdź do strefy odbioru gości. Jak tam dotrzesz, daj znać, a on podjedzie.

Ja: Dobrze.

Rozejrzałam się po podwieszonych tablicach z napisami i podążyłam za wskazówkami, mijając po drodze kolejkę do taksówek. Poświęciłam na to kilka minut, ale stanęłam na zewnątrz strefy „public pick-up”. Rozglądałam się za jakimś samochodem, do którego nikt nie podchodzi, bo to by

oznaczało, że być może jest w nim tajemniczy Justin. Dałam znać cioci, że czekam, nawet wysłałam jej selfika z najbardziej niewinną miną, jaką zdołałam przybrać, żeby facet wiedział, kogo szukać, ale nastąpiła cisza w eterze.

Zaciągnęłam się wyczuwalnym w powietrzu słodkim zapachem eukaliptusa, chcąc opanować nerwy. W desperacji chciałam zadzwonić do cioci, ale znienacka wyrósł przede mną mokry sen o Chrisie Hemsworcie. *Gdyby tylko nosił ogrodniczeki upaprane farbą w różnych kolorach i robocze, zakurzone buty... Do tego dłonie ze śladami jakiegoś brudu.*

– Jesteś siostrzenicą Cristiny?

Odjęło mi mowę, za to rozszerzyłam szeroko oczy ze zdumienia, słysząc ten ciepły i głęboki głos z dziwnym akcentem. Facet wziął się pod boki, a potem sięgnął do kieszeni po telefon. Zamrugałam, uświadamiając sobie, jak idiotycznie się zachowuję.

– Ty jesteś Justin? – Jego brew się uniosła. – Przepraszam, ciocia nie dała mi znać... – gestykulowałam nadmiernie, denerwując się – jak wyglądasz... no i nie znam cię.

Odwrócił komórkę w moją stronę, pokazując zrzut ekranu rozmowy z ciocią i selfika. Chwycił za rączkę od walizki i pociągnął bagaż w stronę wielkiej półciężarówki z kratką z przodu. Ale cóż – ogromny facet i ogromne auto. Wrzucił ją niedbale na pakę, jakby nie ważyła trzydziestu dwóch kilogramów, tylko z pięć, gdy ja się siłowałam z podręczną walizką o wadze dziesięciu.

Nie byłam bezradną białogłową, a po prostu zmęczoną długim lotem kobietą i musiałam chwilę podywagować, jak wsiąść do tej metalowej bestii. Czy najpierw ja, a potem walizka, czy najpierw walizka, a potem ja. Był stopień, ale miałam ze sobą bagaż, którego za Chiny Ludowe nie podniosłabym tak wysoko na pakę.

Pisnęłam, gdy Justin złapał mnie w pasie i podsadził. Nim zatrzasnął drzwi, zdążyłam dostrzec, że bagaż podręczny wylądował na pace, tak samo jak duża walizka. Jęknęłam w duchu, martwiąc się o leciwego laptopa.

W totalnej ciszy wyjechaliśmy zawiłymi uliczkami z lotniska. W ciemności nie dało się zbyt wiele zobaczyć poza znakami drogowymi z informacjami,

dokąd prowadzą różne zjazdy. Ochrzciałam swojego kierowcę przydomkiem „gbur”. Nawet nie zapytał, czy miałam przyjemną podróż. Od razu wybrał numer i zaczął nawijać przez telefon w takim tempie, że zwątpiłam w to, czy w ogóle rozumiem język angielski. Niemniej jednak słuchało się go z przyjemnością, a patrzyło na niego jeszcze lepiej!

Zatrzymał auto przed trzykondygnacyjnym budynkiem. Leki przeciwbólowe powoli przestawały działać, a ból biodra narastał do tego stopnia, że perspektywa wysiadania z auta przyprawiała mnie o ścisk żołądka. Wiedziałam, że to dopiero kolano z artretyzmem doprowadzi mnie do mdłości. Otworzyłam drzwi i niezwykle uważnie zsunęłam się na beton, sycząc z dyskomfortu. Musiałam się przytrzymać boku auta, bo rwanie w nodze wyciskało mi łzy z oczu.

– W porządku?

Dzięki za troskę, gburze!

– Tak – zapewniłam.

Wyprostowałam się z trudem, mrugając, by odgonić łzy. *Dam radę. To tylko ból!*

Skinął mi głową, stawiając walizki obok. Zostawił mnie bez słowa. Dobrze, że chociaż pod dobrym adresem. Kulejąc, podeszłam do pierwszej klatki. Nad jej drzwiami oznaczono numery od dziewiętnaście do dwadzieścia cztery. Potrzebowałam czwórki. Pokuśtykałam dalej i znalazłam odpowiednie drzwi. Może i ciocia mieszkała w miejskiej czynszówce, ale było tu schludnie i czysto. O dziwo mieszkania znajdowały się na półpiętrach, co dawało lokatorom odrobinę prywatności.

Wtaszczyłam walizy na górę, walcząc z nieustannym bólem. Złapałam parę oddechów, nim zadzwoniłam do drzwi, które otworzyły się niemal natychmiast. Serce mi się ścisnęło na widok żywego obrazu własnej matki.

– Cześć, kochanie!

Przytuliła mnie do siebie, jakbym była jej własnym dzieckiem. Pocałowała w oba policzki i znów przytuliła. Cały stres i irytacja długim lotem zniknęły w sekundę. Zatonęłam w ciepłych ramionach cioci, ciesząc się jak dziecko. Łzy zebrały się pod powiekami.

– Jak dobrze cię zobaczyć – wyszeptła mi do ucha. Słyszałam wzruszenie w jej głosie.

Wciągnęłam walizkę do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Skrzywiłam się boleśnie, okręcając na pięcie doskwierającej nogi.

– Boli cię? – spytała z troską.

– Tylko trochę – skłamałam, bo ból uderzał falami od głowy po stopy. Usiłowałam w otępieniu przypomnieć sobie, gdzie mam leki.

– Widzę, że cię skręca, kochanie – odparła, idąc w stronę dużych szarych drzwi. Otworzyła je i naszym oczom ukazała się szpiżarka. Parę sekund zajęło jej zlokalizowanie tego, czego szukała. Wróciła do maleńkiej kuchenki odgradzonej od stołu z krzesłami wyspą. Podała mi tabletkę i szklankę z sokiem. – Chcesz usiąść?

– Nie – zaprzeczyłam, łykając pigułkę. – Muszę się rozciągnąć.

– To ściągnij te ciuchy, nałóż coś wygodnego i pogadamy, gdy będziesz ćwiczyć.

Chciała chwycić za walizkę, ale pokręciłam przecząco głową. Jeszcze czego! Ona w wieku siedemdziesięciu lat miała by dźwigać moją torbę? Minęłyśmy mały pokoik, w którym były tylko metalowe łóżko, biurko i niewielka komoda. W drugim, znacznie większym, stały rozłożona wersalka, biurko i dwa regały wypełnione książkami. We wnęce znajdowała się szafa. Dwa zasiatkowane okna nie miały zasłonek, a jedynie bambusowe rolety.

– Nie wiedziałam, czy chcesz kołdrę, czy koc.

– Jeszcze nie wiem, ale osiemnaście stopni nocą wskazuje raczej na koc.

Z trudem położyłam bagaż na łóżku, wyciągnęłam z niego kosmetyczkę, ręcznik i ubrania na zmianę – haremki i koszulkę na ramiączkach.

– Nie masz nic przeciwko, że wezmę prysznic?

– Czuj się jak w domu, kochanie – zapewniła z czułością.

– Dzięki, ciociu.

– Chcesz coś zjeść?

– Nie, na razie nie.

Kąpiel okazała się zbawieniem. Chłodna woda kołła rozgrzane ciało, a dzięki lekom ból biodra stawał się wspomnieniem.

- Lepiej? – spytała z uśmiechem, gdy wynurzyłam się odświeżona.
- Zdecydowanie!
- Picie, jedzenie?
- Nie, nie, zadbali o nas w samolocie. Ile można.
- Dobrze nakarmili?
- Podejrzanie. – Zaśmiałam się. – Wszyscy potem poszli spać.
- O masz! – Rozłożyła ramiona.
- Ale tak z pewnością lepiej się pracowało stewardesom.

Uklękałam przed fotelem, na którym siedziała ciocia i przysiadłam na piętach, a kolana rozsunałam. Ta pozycja zawsze przynosiła ulgę w bólu, tak samo jak rozciąganie i pozycje Virabhadrasana w jodze.

- Masz za sobą długi lot.
- Ale całkiem spokojny. Nawet dzieci tak bardzo nie płakały, zachowywały się naprawdę poprawnie i cicho.
- Będziesz miała swoje, to zobaczysz, jak to jest.
- Z pewnością nie zabierałabym ich w taką podróż – oświadczyłam spokojnie, zmieniając pozycję. – Dwuletni maluch nic nie zapamięta z takiej wyprawy, podobnie jak tego, że rodzice zostawili go w domu z nianią lub dziadkami.

- Te dziadki to niekiedy nie mają siły do ganiań za ruchliwym dwulatkiem, więc wykorzystywanie teściów czy rodziców czasem nie ma sensu. Sama wiesz, jak schorowana była mama.

- Wiem – przyznałam z westchnieniem.
 - Nie dałaby rady ganiać za wnukami.
 - Więc dobrze, że się ich nie dorobiłam.
 - Nie chcesz?
 - Nie to, że nie chcę, ale jakoś tak... – Zrobiłam nieokreślony gest ręką. – Wiesz, lubię swoje spokojne poranki i chyba jeszcze nie dojrzałam do tego, by zamienić je na płaczące dziecko.
 - A zegar tyka – zażartowała.
- Skrzywiłam się, całkiem tracąc humor.

– Nie wiem, jak mogłabym teraz zaufać jakiemuś facetowi, kiedy ten romans fundamentalnie wstrząsnął posadami mojego świata. Ciociu... – Westchnęłam. – Czuję się oszukana, ale jak czytam te nasze maile, to... Sama jestem sobie winna. Zaczęło się prozaicznie od wymiany uwag o własnych małżeństwach i coraz śmielej dzieliliśmy się sekretami, powtarzając w głowach, że przecież jesteśmy w związkach, że nic się nie dzieje, że to po prostu taka „terapia”. Wygadanie się drugiej osobie mającej podobne problemy. A to była pułapka! – dodałam z rozżaleniem. – Żebym sama go nakierowała na to, czego mi potrzeba. Czułości, delikatności, zainteresowania, uwiedzenia mojego mózgu, bym nie mogła się doczekać dotyku i fizycznej bliskości.

– Nie wszystko złoto, co się świeci – podsumowała.

– I nie każdy chłop z widłami to Posejdon!

Zaśmiała się dwuznacznie.

– Czyli coś na zasadzie obietnicy cacanki, a głupiemu radość, gdy politycy nam coś wciskają. „Obiecałem wam drogi! Drogi chleb, drogi prąd, drogie masło!”

– Nikt ci tyle nie da, ile nasz rząd ci naobiecuje – skwitowałam gorzko, podchwytyjąc żart. – Tu chyba i tak jest lepiej niż w Polsce, co?

– Czy ja wiem, kochanie? – Machnęła ręką. – Każdy kraj ma swoje dobre i złe strony, a rządy i politycy w każdym to samo bagno.

Zerknęła po raz kolejny na drzwi.

– Czekasz na kogoś?

– Myślałam, że Justin przyjdzie odebrać nagrodę za przysługę.

– A... mogłam powiedzieć wcześniej, że wysadził mnie przed wjazdem, zrzucił walizkę z paki i odjechał bez pożegnania. W drodze nawijał przez telefon do upadłego. Nie wiem, o czym, i zaczynam wątpić w swoją znajomość angielskiego. – Usiadłam prosto. – Obserwowałam okolicę.

– I jak pierwsze wrażenie? – spytała z błyskiem w oku.

Oj, ciociu, nic z tego swatania nie będzie!

– Że ten facet to totalny gbur. Dobrze wyglądający, niczym Chris Hemsworth, ale nadal gbur.

– Naprawdę to do niego niepodobne. To bardzo otwarty, uroczy chłopak. Zawsze uśmiechnięty. Jutro zadzwonię zapytać, co się stało, albo jak zajrzy, to pogadam sobie z gagatkiem. – Pogroziła palcem w powietrzu.

– Ojej, nie trzeba. Przywiózł, jestem cała!

– Pojechałabym sama. – Im dłużej na nią patrzyłam, tym szybciej dochodziłam do wniosku, że może lepiej, że się nie ruszała z miejsca. – Tak mnie bolały stawy, że nie byłam w stanie zejść dzisiaj po schodach. Nawet leki nie pomagały.

Zrobiło mi się przykro, że poniekąd stanę się dla niej ciężarem. Ciocia niedługo miała obchodzić siedemdziesiąte urodziny. Piękny wiek! Tylko schorowany. Doskonale to rozumiałam, odkąd i ja w wieku trzydziestu dorobiłam się artretyzmu, a gdzie mi tam do jej podeszłych lat.

– Nic się nie stało – zbagatelizowałam. – Może miał zły dzień czy coś. Cieszę się, że mi pomógł, bo pozostałoby mi wzięcie taryfy.

– A taksówki są tu drogie. Z lotniska wydałabyś pewnie ze sto dwadzieścia dolarów.

Niemal złapałam się za głowę, przeliczając na złotówki.

– Ponad trzysta złotych? To z domu w Warszawie na lotnisko jest jakieś siedemdziesiąt złotych Uberem.

– Uberem to pewnie nawet i taniej by wyszło, ale im to wolno do strefy odbioru wjechać tylko raz dziennie. Ale za to można pojechać pociągiem. Co prawda opłata za przejście przez bramki na tej stacji to osiemnaście dolarów, a nie zwyczajowe trzy czy cztery, ale da się dojechać. Jutro musimy ci kupić kartę Opal.

– A co to takiego?

– Karta miejska, którą się doładowuje. Do centrum najlepiej stąd pociągiem lub ze stacji Merrylands albo Parramatta. Jesteśmy gdzieś pośrodku.

Poczułam ekscytację na myśl o poznaniu czegoś nowego.

– A do pociągu?

– Można się przejść lub podjechać kilka przystanków autobusem. Pamiętaj, żeby dać kierowcy znać i nacisnąć przycisk „stop”, by wysiąść przed przystankiem. Przy stacji pociągów to się zawsze zatrzymuje. O!

I jeszcze jak wsiadasz, to zawsze przednimi drzwiami, bo środkowe lub z tyłu są do wysiadania tylko. Aha! I jak wsiadasz, dotknij kartą kasownika, i przy wyjściu też.

– A w pociągu? – Podniosłam się z podłogi.

– Przy wejściu na peron są kasowniki, zbliżasz kartę, rozpoczynając podróż, a w centrum masz bramki, jak wychodzisz.

– Nie brzmi jakoś super skomplikowanie.

– I nie jest.

Ziewnęłam potężnie.

– Niby się wyspałam, ale wciąż czuję się zmęczona. Mówię ci, coś jest w tym jedzeniu! – zażartowałam.

– Jutro poczytam w internecie.

Zaśnieć zajęło mi może minutę, po prostu odpadłam.



Przeciągnęłam się leniwie w poczuciu wolności. Nie musiałam wstawać, by pędzić do roboty, o braku budzika już nie wspomnę, bo tę radość zna każdy, kto dostępuje możliwości wyjazdu na urlop. Zwlekłam się z łóżka, gdyż matka natura cisnęła mi na pęcherz. Zerknęłam w lustro i nie mogłam uwierzyć, że wyglądam tak normalnie na zewnątrz, kiedy w środku panowało nadal kompletne pobjowisko po przejściach sprzed prawie roku. Powoli zbierałam się do kupy, ale nacisk powinno się tu położyć na słowo „powoli”.

Zaanonsowałam się w kuchni z radością, która nie sięgała oczu.

– Dzień dobry, kochana! – Ciocia w skowronkach siedziała przy stole, a przed nią stał laptop.

– Dobry, dobry.

Rozejrzałam się nieprzytomnie po miniaturowym wnętrzu. Pod oknem zlew, na drugiej ścianie kuchenka i szafka, a od strony salonu wysoka lodówka w zabudowie i kolejna szafka.

– Zrobić ci kawę? – zaproponowała.

– Poranek bez kawy jest jak łąka bez trawy – zaśpiewałam, fałszując i wywołując tym na jej ustach uśmiech. – Powiedz mi tylko, gdzie co jest.

– Mam jedynie rozpuszczalną, ale później pojedziemy do Marrylands, to sobie wybierzesz jakąś, jeśli ci ta nie zasmakuje. Mleko w lodówce.

– A kawa gdzie?

– Na prawo w szafce. Wybierz sobie szklankę.

Otworzyłam drzwiczki i moje oczy trafiły na uroczy kubek z kotem. I to była myśl! Nasypałam sobie dwie łyżki rozpuszczalnej i poczekałam na zagotowanie się wody.

– Zjesz jakieś śniadanie? Specjalnie dla ciebie kupiłam owoce. Mango, banany i melona, nawet dziękiego ogórka udało się upolować. Jak wolisz polskie potrawy, to skoczmy dzisiaj do delikatesów Polonez na Chester Hill. – Widać było, że zapala się do tego pomysłu. – Takie miłe małżeństwo je prowadzi. I swoje kiszonki robią! I pierogi. A! I do tego mają rodzinę w Pieszycach. Uwierzysz?

– W sumie niezły zbieg okoliczności. – Zalałam proszek wrzątkiem. – Czy to Drażczykowie mieszkają w Pieszycach?

Dodałam mleka i upiłam ostrożnie łyk. Kawa była obrzydliwa. Gorzka i cierpka, a mleko nic nie dawało. Nawet podwójna ilość cukru nie pomogła.

– Nie smakuje?

Ściągnęłam usta. *Dam radę!* Po drugim łyku nie potrafiłam się nie krzywić.

– Chyba się nie polubimy.

– To kawa dla starych ludzi. – Zaśmiała się, wstając. – Czekałam, dostałam kiedyś od Justina smakową, ale dla mnie za słodka. Może ci podpasuje?

Zrobiłam jej miejsce i oparłam się o ściankę. Pogrzebała trochę w odmętach szafek i zaprosiła mnie gestem.

– Chodź, kotek, ty wyższa jesteś. O, tamte puszki ściągnij. – Wskazała palcem na dwie.

Bez problemu zdjęłam obie i postawiłam na blacie. Napis na fioletowym owalu głosił „Jarrah”, a smak określono na „Caffe Latte”, a drugi

jako „French Vanilla”. Uznałam, że wszystko będzie lepsze niż „Bushells”, którego spróbowałam na początku.

Nie musiałam słodzić ani dolewać mleka, kawa po zalaniu była gotowa do wypicia. Tylko za gorąca. Upiłam maleńki łyczek, by nie poparzyć języka, i zakochałam się w smaku. Wanilia, o jakiej zawsze marzyłam, a jedynie mogłam powąchać. Niebo w gębie. Spełnienie marzeń. Stwierdzenie „orgazm w ustach” nabierało nowego sensu.

Przysiadłam na krzesle, tyłek mi się nieco zapadł, a nogi podjechały do góry. *Ciekawe, w którym roku zrobiono te krzesła? Tysiąc dziewięćset cztertnastym?* Zresztą, ciocia mieszkała sama, więc nie potrzebowała luksusowego stołu z krzesłami. Musiała coś zauważyć, bo podniosła się ze swojego miejsca.

– Chodź tutaj, a ja klapnę na fotelu. To jaki masz plan na dzisiaj?

Dobre pytanie, na które nie miałam odpowiedzi.

– Nie wiem, może pojadę do centrum? Pochodzić trochę? Złapać słońca?

– Nie łap słońca, tylko posmaruj się wysokim SPF. Niby jest końcówka października, u nas wiosna, ale wieje chłodny wiatr, a to w połączeniu ze słońcem staje się zdradliwe.

Kawa z każdym łykiem była coraz smaczniejsza. Gorąca i słodka.

– Dobrze, ciociu.

– Jak twój angielski?

– Nie zginęłam do tej pory, to dam radę i tutaj. Zwłaszcza że z internetu mogę korzystać tak samo jak w Polsce.

Mój mózg zaczynał wkraczać na wysokie obroty, pobudzony ciepłym napojem.

– Pakiet nie skończy ci się za szybko?

– Mam dwadzieścia pięć giga na miesiąc, a w domu nie przekraczam nawet jednego miesięcznie. Powinno być dobrze.

– Droga do stacji jest prosta. Jak wyjdiesz na główną – wskazała palcem na okno – idziesz do samiutkiego końca i przystanek jest po lewej, tam gdzie budowa.

- Tylko kartę muszę kupić – przypomniałam.
- To już na samej stacji. Taki kiosk jest, to ci od razu doładują.
- A ty nie idziesz ze mną? – spytałam zaskoczona.
- A gdzie ja tam z tobą?! Jak ja chodźć nie mogę. – Pomasowała się po kolanie z przeproszącą miną.

Szkoda, bo liczyłam chociaż na jakiś spacer.

- To jak ja sama... – Urwałam, uświadamiając sobie, że mam prawie trzydzieści lat i chyba czas być samodzielnią.

- Normalnie. Pociągiem. – Spojrzała na mnie ciepło. – Tylko patrz na tablicę, żeby był pospieszny, a nie zwykły, bo zamiast jechać czterdzieści minut, spędzisz w pociągu ponad godzinę.

- Na jakiej stacji wysiąść?

- Circular Quay, bo jest przy samej operze, a stamtąd to jak cię nogi poniosą, do parku czy do centrum. Co tam dusza potrzebuje. Tylko weź butelkę wody. Masz plecak czy torebkę?

- Plecak.

- Dobrze, to wygodnie. Zapakuj sobie sweter z długim rękawem.

Spojrzałam na słońce za oknem i błękitne niebo bez ani jednej chmurki.

Ten sweter to po to, żebym się spociła?

- Ugotuję się w ubraniu.

- Poparzysz się, jak weźmiesz prom z Circular na Manly.

- Szybciej się zrzygam, bo mam chorobę morską.

- A teraz jest taki nowy prom na kartę Opal – pochwaliła się – co leci tylko dwadzieścia minut, ale na wodzie to zawsze chłodno.

Zebrałam się do kupy i przed dziesiątą, z kluczami schowanymi bezpiecznie w małej kieszonce, ruszyłam z telefonem w rękę w stronę stacji. Cała przygoda rzeczywiście zajęła mi dwadzieścia minut, a instrukcje okazały się niezwykle dokładne. Kupiłam kartę, którą doładowałam za sto dolarów, przeliczając w głowie, że to bajońskie dwieście siedemdziesiąt złotych. Ale w końcu w Australii było się raz w życiu i nie warto oszczędzać. W Polsce też musiałabym kupić bilet miesięczny.

Zapamiętałam, w jaki pociąg muszę wsiąść, aby wrócić. T2 – żółta linia. Zrobiłam sobie zdjęcie, ale potem zobaczyłam, że każda mijana stacja ma rozpiski z połączeniami.

W pociągu zafascynowały mnie widoki za oknem i przestawiane oparcia siedzeń. Można było jechać albo zgodnie z kierunkiem jazdy, albo tyłem. Za oknem zaś momentami jawił mi się niemal dziki zachód jak z wester-nów. Jasne domki z płaskimi dachami, najczęściej z reklamami usług lub produktów oferowanych w danym miejscu.

Blżej centrum podmiejski krajobraz zastępowały mieniące się w słońcu biurowce ze stali i szkła. Z rozdziawionymi ustami wpatrywałam się w ogromny wycieczkowiec zacumowany przy Circular Quay. A potem w operę widoczną po prawej stronie. Uśmiechnęłam się sama do siebie, w końcu wierząc, że się udało.

Jestem w Australii!

Hura!

Opanowałam się, żeby nie podskoczyć i nie wykonać tańca zwycięstwa oraz radości, ale wewnątrz szalałam ze szczęścia, że mogę zobaczyć to, co dla wielu jest niedostępne.

Zrobiłam parę zdjęć i wysłałam koleżance z biura. *A niech zazdrości!*

Zafascynowana rozglądałam się po terminalu przesiadkowym. Jeden prom przypluwał, inny odpływał. Tłumy turystów przelewały się na chodniku, przemieszczając się w palącym słońcu. Paliło do momentu, kiedy nie powiał wiatr znad zatoki, wtedy chciało się nałożyć sweter. A już na trzysta procent chustkę na szyję.

Ceny w okolicznych lodziarniach i barach powalały na kolana. Za butelkę wody żądano sześciu dolarów, czyli piętnastu złotych. To drożej niż na lotnisku. Nie zarabiałam mało, ale tutaj czułam się jak biedak.

Po obejściu parku botanicznego wróciłam na przystań i skierowałam zmęczone nogi na The Rocks. Na szczęście znalazłam tu małą piekarnię z rozsądnymi cenami, gdzie za sześć dolarów zjadłam pyszną drożdżówkę i wypijałam kawę. I świat od razu znów nabral kolorów, aż chciało

się zaśpiewać „Więc chodź, pomaluj mój świat, na żółto i na niebiesko”¹. Błękit nieba już miałam, tak samo jak żółte słońce!

Panie przy stoliku obok rozprawiły o cenach nieruchomości w okolicy. Aż sprawdziłam, ile kosztował apartament z widokiem na zatokę, i prawie zadławiłam się kęsem. *O Jezusicku!* Niewyobrażalne kwoty, ale jak spojrzęło się w okna, to wszystkie lokale wydawały się zamieszkałe.

Pokonywałam kolejne kilometry, chłonąc klimat miasta prezentujący połączenie starej, niskiej zabudowy z drapaczami chmur. I o dziwo, podobnie jak w Londynie, wszystko idealnie do siebie pasowało. Zorientowałam się, że zrobiło się późno, dopiero gdy ciocia zapytała na WhatsAppie, na którą szykować kolację, bo już ominął mnie obiad.

Zegar wskazywał osiemnastą.

W pociągu udało mi się złapać wolne miejsce na podwójnym siedzeniu przy oknie. Mimo że pojazd wypełnił się po brzegi, nikt nie usiadł koło mnie. *Dziwny kraj!* Ale na potrójnym siedzeniu w rzędzie obok pasażerowie też siedzieli co drugie siedzenie. *Może to jakiś zwyczaj?*

Nogi, którym dałam odpocząć, zaczęły niemilosiernie rwać, a mi nie zostało już ani kropelki wody w butelce, by popić tabletkę przeciwbólową. No nic, trzeba cierpieć w ciszy. Wlekłam się po Pitt Street, zupełnie zapominając, że jeżdżą tu autobusy. Wołałam jednak oszczędzać kartę miejską, mimo że powinnam oszczędzać nogi.

Biodro niemilosiernie dokuczało z każdym krokiem i nawet stabilizator nie pomagał. Z trudem wciągnęłam go na stacji, prawie płacząc z bólu, ponieważ schylenie się graniczyło z cudem, ale jakimś sposobem się udało. Doszłam tylko do parku, gdy zatrąbił na mnie samochód. Ktoś głośno zagwizdał, a potem zawołał:

– Ej, mała!

Bucik ci się rozpiardala – odpowiedziałam w myślach. *Powoli, powoli i tobie się rozpiardoli!*

1 Dwa plus Jeden – *Chodź, pomaluj mój świat*

Do tego głos brzmiał niezwykle znajomo. Odwróciłam głowę, źle stanęłam i w rezultacie lzy napłynęły mi do oczu pod wpływem fali bólu. Wymamrotałam parę przekleństw, mrugając, by odzyskać ostrość widzenia, ale dostrzegłam kierowcę.

Gbur!

Jego auto rozpoznałabym wszędzie. Nie wiem, na co liczył, ale machnęłam ręką, żeby sobie pojechał. I tak byłam po złej stronie ulicy, a zanim dokuśtykałabym do niego, minąłby rok.

Chyba nie zrozumiał tego gestu, bo wrzucił kierunkowskaz i zawrócił, po czym wjechał w uliczkę, którą właśnie minęłam cztery kroki temu.

– Hej, wskakuj, podrzucę cię.

– Nie, dzięki. Przejdę się.

Nie wycofał, wysiadł z szoferki i tym razem znów zabrakło mi tchu. Zamiast brudnego kombinezonu miał na sobie szorty i koszulkę polo. Normalnie jak z fantazji o seksownym drwalu, który przypiera cię do karoserii i młóci godzinami, dając dziesiątki obezwładniających orgazmów.

– To jeszcze prawie kilometr. – Oparł się swobodnie o maskę. – Wiesz o tym, prawda? – Uśmiechnął się, prezentując równiutkie, białe zębki.

Muszę zapamiętać, żeby nie szczerzyć moich krzywych trójek przypominających kły wilkołaka.

Niepewnie spojrzałam na trasę w górę ulicy. Przygryzłam wargę. Facet wydawał się wybawieniem, ale czy na pewno?

– Czemu nie poprosiłaś Cristiny, żeby cię odebrała ze stacji?

– Nie chciałam jej robić problemu.

Schował dłonie do kieszeni, przyglądając mi się z uwagą.

– Wskakuj! – zachęcił ponownie.

Zrobiłam niepewny krok, sycząc.

– Co ci jest?

– Nogi mnie bołą.

Kolejny krok okupiony zaciśniętymi wargami, żeby nie jęczeć.

– Niewygodne buty?

Pokręciłam przecząco głową. Otworzył drzwi pasażera, wykonując zapraszający gest. Zbladłam, widząc schodek.

– Pomogę ci, nie bój się.

Podszedł w dwóch krokach, znów górując nade mną. Ależ ten facet był wysoki! Silne dłonie złapały mnie w talii i bez wysiłku przeniosły do auta. Opadłam tyłkiem na siedzisko, jęcząc z bólu.

– Uszkodziłaś kolano czy stabilizator nosisz dla ozdoby?

Drżałam w środku, walcząc z falą mdłości, gdy przesunęłam nogi do wnętrza kabiny. Wsiadł za kierownicę i pochylił się do mnie, sięgając po pas bezpieczeństwa, który sprawnie zapiął. Głos uwiązał mi w gardle, gdy poczułam korzenne, męskie perfumy. *Zwałę to na ból!*

– Mam artretyzm – wydusiłam.

Uruchomił silnik i podjechał nieco, by wykręcić.

– Nie jesteś za młoda na artretyzm?

– Najwidoczniej wystarczająco stara – zażartowałam.

– Nie wyglądasz.

– Kobiet nie pyta się o wiek – pouczyłam go.

Zerknął na mnie przelotnie, gdy szukał luki, by włączyć się do ruchu.

– A o imię?

Ciekawe, czy połamię sobie język?

– Elżbieta – wypaliłam po polsku. – Ela w skrócie.

– A masz jakiś angielski odpowiednik?

– Elisabeth.

– Jak austriacka cesarzowa – zauważył trafnie. – Elisabeth Amalie Eugenie von Wittelsbach. Bawarska księżniczka.

– Tak, ale nie mów do mnie pełnym imieniem – poprosiłam. – Brzmi strasznie formalnie, jak na dworze królewskim w Anglii. A ze mnie żadna księżniczka.

Uśmiechnął się, patrząc na mnie z rozbawieniem.

– Dobrze, Sisi. – Przyśpieszył gwałtownie, pokonał sprawnie trzy pasy i pojechaliśmy w stronę domu. – Za dużo chodziłaś?

– Nie czułam zmęczenia, dopóki nie usiadłam w pociągu.

- Jak ci się podoba miasto?
- Zobaczyłam tylko operę, ogród botaniczny i The Rocks, więc trudno tu mówić o wyrabianiu sobie opinii.
- Coś tam już liźnęłaś.
- Zmienił pas, byśmy mogli skręcić w Railway Street.
- Jest pięknie.
- Unióś tylko brew na to lakoniczne stwierdzenie.
- Przepraszam, ale mój angielski jest trochę ograniczony, jeśli chodzi o słownik i swobodę mowy. Piękny, cudowny, wspaniały, zaskakujący, fantastyczny.
- Zaśmiał się, wrzucając kierunek, i zwolnił na światłach.
- Jaki plan na jutro?
- Pewnie wygodny fotel i puf pod nogę. Nie dam rady chodzić. Muszę odpocząć.
- Na długo przyjechałaś?
- Ale wywiad! Co mi szkodzi powiedzieć prawdę?*
- Trzy miesiące. Wracam po nowym roku.
- Dali ci tyle wolnego w pracy?
- *Garden leave*².
- Postanowiłaś odwiedzić Cristinę?
- Sprawnie wjechał między budynkami na parking, chociaż mi się wydawało, że zahaczmy o sufit.
- Ciocię mam tylko jedną. Jest dla mnie jak druga mama.
- A co się stało z pierwszą?
- Oblizала usta i przełknęłam.
- Umarła.
- Zwinnie ustawił auto tak, żeby stać przodem do wyjazdu.
- Przykro mi. – Zgasił silnik. – Przepraszam, że zapytałam.
- W porządku, to było kilka lat temu.

2 *Garden leave* – zwolnienie z obowiązku świadczenia pracy z zachowaniem prawa do wynagrodzenia za ten czas.

Sięgnęłam do klamki.

– Czekał, pomogę ci.

Zabrał z konsolki telefon i portfel, ale gdy doszedł do mnie, miał puste dłonie. Zamiast pomóc mi zejść, wziął na ręce.

– Nie – zaprotestowałam słabo.

– Trzymaj się. Będziesz otwierać drzwi.

Nic z tego, bo okazały się otwarte. Bez wysiłku wchodził po schodach na piętro.

– Klucz mam w plecaku.

– Cristina jest w domu, może nam otworzyć.

Zadzwoił dzwonkiem do drzwi, po czym otworzył te pierwsze, siatkowe, uchylające się do zewnątrz.

– Możesz mnie już postawić – poprosiłam zaczerwieniona.

Rozluźnił chwyt, a ja odruchowo zacisnęłam ręce na jego szyi. Nie zauważyłam nawet, że ciocia stanęła w progu.

– Simon! – przywitała się z radością wymalowaną w ciemnych oczach.

Czyli gbur to Simon, a nie Justin? Jak to? Może to bliźnięta czy coś?

– Znalazłem twoją zgubę – oświadczył lekko. – Trochę się zagalopowała z chodzeniem i przydałaby jej się tabletka przeciwbólowa.

Posadził mnie na miękkim narożniku.

– Dzięki. – Spojrzałam na niego.

– Zostaniesz na lemoniadę? – zaproponowała.

Powiedz „nie”. Powiedz „nie”.

– Nie, potrzebuję pogadać z Justinem, a widzę, że jego auto już stoi. Potem jeszcze muszę gdzieś podjechać.

Bezwiednie zaczęłam masować kolano.

– Ciągłe w biegu. – Ciocia pokręciła głową z dezaprobatą.

– Obiecuję ci wieczornego grilla, bo zapowiadają upały. – Pocałował ją w czoło. – Czy to ukoi twoje serduszko?

– Może – odparła, jakby się boczyła. – Jeśli dotrzymasz słowa.

Ha! Ciotka zna go chyba lepiej niż on sam siebie.

- To w przyszły weekend? Albo piątek?
- A zostaniesz w piątek na dłużej niż godzinę?

Uśmiechnął się pod nosem.

- Nawet na dwie, ale potem w sobotę jest jakiś event charytatywny, na którym muszę się pokazać.

W oczach cioci dostrzegłam niebezpieczny błysk.

- To może zabierz Elę do miasta po grillu – zaproponowała. – Zobacz Sydney nocą, ty pobalujesz, a potem będziesz miał wygodną wymówkę, żeby zerwać się z imprezki?

O nie, nie, nie.

Ona będzie próbowała narajać mi facetów, wiedząc, że właśnie przeszłam rozwód i niemile zakończony romans.

- Ciociu, dwa tygodnie to odległa przyszłość – rzuciłam z rozbawieniem, którego nie było w moich oczach. – Ja nie myślę nawet o jutrze.

Simon obrzucił mnie szybkim spojrzeniem i pogłaskał ciocię po policzku czułym gestem.

- Pomyślmy, Cristina, tymczasem siostrzenica potrzebuje tabletki i odpoczynku. Daj znać, jakbym mógł pomóc. – Cmoknął ją w czubek siwej głowy i przytulił. – Pa, Sisi.

Zamknął za sobą, nim ciocia zgłosiła kolejny protest. Doszły do nas dźwięki stuknięcia siatkowych drzwi zewnętrznych i kroków na schodach.

- Sisi?

- Jak cesarzowa...

- Tak, tak, wiem. – Machnęła ręką. – Jak ci się podoba Simon?

- Myślałam, że gbur ma na imię Justin, a tu proszę, totalne zaskoczenie. Simon. Też ładnie. To jakaś rodzina? Kumpel?

Przyniosła mi szklankę wody.

- To starszy brat Justina.

Popiłam tabletkę z płonną nadzieją, że zacznie magicznie działać od pierwszej sekundy.

- To on odebrał mnie z lotniska.

– Naprawdę? To Justinowi należy się prztyczek w nos.
– Ja się cieszę, że ktokolwiek mnie zabrał. – Machnęłam lekceważąco ręką. – A który z nich, to już oddzielna historia, bez znaczenia. Ważne, że bezpiecznie dotarłam na miejsce.

- Opowiadaj, jak było dzisiaj – poprosiła.
- Przedobrzyłam – przyznałam, sięgając po telefon.

Spędziłyśmy jeszcze dobrą godzinę na oglądaniu niemal trzystu fotografii, jakie zrobiłam. Potem znów padłam na łóżko i dzięki lekom spokojnie się wyspałam.



Następny tydzień minął jak z bicia trzasnął. Gdy nie trzeba codziennie wstawać do pracy i wlec się na drugi koniec miasta, by zarabiać pieniądze, świat wydaje się piękniejszy. Mogłabym się przyzwyczaić. Chwilami trudno przychodziło mi uwierzyć, że byłam w Australii już ponad dwa tygodnie. Czas przelatywał mi przez palce.

Zobaczyłam już sporo, wliczając w to sobotni Paddy's Market, Parramattę, objazdowy autobus po najlepszych atrakcjach, oceanarium z muzeum figur woskowych oraz wieżę telewizyjną. W lokalnym centrum handlowym na Marrylands znalazłam niewielką piekarnię, w której serwowano smaczne drożdżówki z orzechami i cynamonem. Do tego były, które swoją wielkością nakarmiłyby ze dwie osoby. Kolejnym odkryciem stała się jaśminowa herbata, od której się uzależniłam.

Starałam się w tym wszystkim zachować umiar i płacić za zakupy na zmianę z cocią. W końcu zarabiałam. Może nie tyle, ile ona dostawała w przeliczeniu emerytury, ale zawsze coś.

Noga, jeśli traktowana łagodnie, nie dawała się we znaki. Wystarczyło ograniczyć nieco „zużycie dzienne” i jakoś to szło. Zamiast pięciu atrakcji wybierałam jedną dziennie, dbałam o odpowiedni odpoczynek i siedzenie, by odciążać biodro i kręgosłup. Bałam się przed przylotem o poziom wilgoci w powietrzu, ale w połączeniu ze słońcem nie okazało się to żadnym problemem.

Tego dnia w planach miałam odpoczynek. Pukanie do drzwi wyrwało mnie z transu czytania książki na tablecie. Nim zdążyłam się podnieść, ciocia podreptała do wejścia. Nie zerknęła nawet przez wizjer i otworzyła szeroko drzwi.

– Cristina, o piękna Cristina! – Doszły mnie śpiewne słowa.

Blondyn pociągnął drzwi siatkowe i po odblokowaniu zamka wszedł jak do siebie. Zakręcił ciocię tanecznie i przytulił, prowadząc w tańcu do wymyślonej melodii grającej mu w głowie. Nawet gips na nadgarstku nie powstrzymywał go od energicznych kroków.

Z fascynacją patrzyłam na jego roześmiane usta. Było co podziwiać, zresztą jak u Simona. Ewidentnie bracia. Justin wyglądał na młodszego, z łagodniejszymi rysami twarzy. Wysoki, postawny – no miódzio! W kraju tacy faceci to tylko siatkarze albo koszykarze. A tu proszę, dwóch mieszkało piętro wyżej.

Przypadek? No nie sędzę.

– Potrzebuję twojej cudownej mocy sprawczej – oznajmił po kolejnym obrocie.

– Justin, wystarczy. – Roześmiała się.

Ucałował ją kurtuazyjnie w dłoń.

– Moja piękna!

– I bestia! – dodałam ze swego miejsca.

Zerknął na mnie z zainteresowaniem.

– Ty musisz być Sisi – zauważył pogodnie.

– Ela – sprostowałam.

Zabawnie przechylił głowę w lewo.

– Simon ma rację, Sisi pasuje ci bardziej.

O, proszę! Panowie też plotkowali.

– Co tam potrzeba? – wtrąciła się ciocia.

Uniósł rękę z gipsem.

– Potrzebuję pomocy Zoe. – Zerknął na mnie. – Przepraszam, że nie odebrałem cię z lotniska. Spadłem z drabiny i złamałem nadgarstek.

– To lekki gips, więc pewnie jest tylko... pęknięty?

- Nieprawny. - Zrobił smutną minę.
- Zoe ma pełne obłożenie, przecież wiesz - przypomniała ciocia, siadając na fotelu, gdy Justin usiadł po przeciwnej stronie narożnika.
- Ale ja naprawdę potrzebuję pomocy. - Ponownie wskazał na rękę. - Podwójna stawka.

Ciocia sięgnęła po telefon i od razu przełączyła na tryb głośnomówiący.

- Cześć, Cristina, będę u ciebie jutro. - Zapewnił damski, łagodny głos.
- Cześć, Zoe, tak się spodziewam. Ale słuchaj, jest sprawa. Sąsiad z góry złamał nadgarstek i potrzebuje pomocy. Pewnie jakieś cztery godziny na całość. - Spojrzała na niechlujną koszulkę gościa. - Może odrobinę prasowania.

- Nic z tego, kochana. Z żalem odmawiam. - Westchnęła. - Mam pełen grafik i chcę mieć życie po pracy, a nie żyć pracą.

- Zapłaci podwójnie - zaproponowała ciocia.
- Nie, niestety.

Justin uniósł trzy palce.

- Stówka? - padła kolejna oferta. - To jak dniówka.
- Nie, ale wyślę ci namiar na koleżankę, która też pracuje w tym regionie. Może się zgodzi posprzątać awaryjnie. Muszę uciekać. Do jutra.

Ciocia rozłączyła się i rozłożyła ręce.

- Próbowałam.
- To może ja ci pomogę? - zaproponowałam spontanicznie, bo w sumie co mi szkodziło.

- Ela... - Ciocia usiłowała powstrzymać moje zapędy. - Ty jesteś tutaj na wakacjach.

- To tylko sąsiedzka przysługa i raczej darowizna, a nie nielegalna praca zarobkowa - zażartowałam.

- Tak, ale tobie jest gorąco nawet z klimatyzacją, pod którą teraz siedzisz, a co dopiero przy wysiłku fizycznym. Nie chcę, żebyś poczuła się zobligowana, ponieważ Simon odebrał cię z lotniska.

Ciotka chyba trochę przesadzała z tą nadopiekuńczością.

- Sprzątanie jest prawie jak joga.

Justin obserwował naszą wymianę zdań i wskazał na nogę z opaską uciskową.

– Czy ty nie jesteś kontuzjowana?

– Nie. – Odłożyłam tablet. – Mam artretyzm jak ciocia.

Przymrużył oczy.

– Pięćdziesiąt.

Uniosłam brwi. *Co za sknera!*

– A chwilę temu chciałeś zapłacić stówkę.

Unióś palec, by zaznaczyć coś ważnego, nim powiedział:

– Profesjonalistce.

Prychnęłam.

– Jestem Polką! My sprzątanie mamy w genach wyssanych z mlekiem matki. Poza tym to nie ja jestem w potrzebie.

Zmrużył oczy.

– To wymuszenie.

– Prawo rynku. Jest popyt, jest podaż i cena rośnie w miarę desperacji kupującego. Spróbuj lewą ręką – poradziłam, sięgając po tablet.

– Lewą rękę to ja mam od czego innego – zażartował.

Zmrużyłam oczy.

– Cudownie, że w skrajnych przypadkach jesteś samowystarczalny... w wielu tematach, ale takich usług nie świadczę.

– Nie o takie proszę – skontrolował z rozbawieniem. – No weź.

– Stówka i masz posprzątane choćby dzisiaj.

– Dobra, ale uprasujesz mi koszulę na jutrzejszy bankiet – zastrzegł.

– Nie znoszę prasowania koszul – burknęłam.

– Mam parownicę.

Rozłożyłam ręce.

– No niech będzie to prasowanie ekstra.

Wstał, podając mi dłoń.

– Zapraszam.

Wygasiłam tablet i odłożyłam go na siedzisko. Przez parę sekund dywagowałam, czy powinnam się przebrać, ale uznałam, że sportowy stanik

i luźna bawełniana koszulka powinny być w porządku. *Najwyżej ją sobie zwiążę pod biustem.* Justin mieszkał nad nami, ale minęliśmy drzwi, wchodząc jeszcze wyżej. Okazało się, że ostatnie piętro stanowi jedno mieszkanie. Może nie luksusowo wyposażone, ale widać było rękę projektanta. Rozejrzałam się, chcąc ocenić, ile czasu zajmie sprzątanie.

– Powinam zażądać trzy razy więcej? – zażartowałam, spoglądając na brudne naczynia w zlewie i kolejne walające się po blatach. Kuchnia tutaj była wielokrotnie większa niż u cioci, ale kto bogatemu zabroni.

– Stawka to stówka – przypomniałam.

– Zmywanie to co najmniej godzina.

– Jest zmywarka, ale najpierw trzeba ją rozpakować.

Głośno wypuściłam powietrze. Nie taki syf w życiu widziałam, gdy sprzątałam jako asystentka w biurze. Wystarczyło wejść na miejsce zabaw niektórych klientów po eventach, by na zawsze zmienić pogląd na to, co jest lub nie jest pierdolnikiem. Tu jeszcze nie wyglądało tak źle, chyba że pod stołem znalazłabym zaschnięte rzygi albo zużyte kondomy.

– Dobra, gdzie trzymasz środki czystości?

W pomieszczeniu gospodarczym panował względny porządek. Zdjęłam pierścioneł, odłożyłam go na półkę, notując w głowie, żeby go potem zabrać. Nałożyłam wielkie, kończące się przy łokciach gumowe rękawice. Justin wyciągnął z lodówki dwie butelki Calypso cytrynowego, które uwielbiałam. Siłował się z kapslem, nie mogąc odkręcić, więc otworzyłam biedakowi.

– Druga dla ciebie.

Oparł się nonszalancko o blat, a ja sięgnęłam do zmywarki, by zobaczyć, co tam się dzieje.

– Będziesz mi patrzył na ręce?

– Lubię obserwować proces sprzątania, ale sam nie lubię tego robić.

Wykręciłam filtr z urządzenia, by ocenić, jak bardzo jest zapuszczony.

O dziwo okazał się czystutki.

– Czy to dlatego Zoe nie chciała się zgodzić?

Roześmiał się cicho.

– Nie! Jest inny powód. A dlaczego ty się zgodziłaś?

– Kurs dolara australijskiego do złotówki to dwa i pół. – Zaczęłam pakować talerze do dolnego koszyka, odkładając na bok sztucce. – Zarabiam nieźle. Tak przynajmniej myślałam, zanim tu przyleciałam. Zobaczyłam okazję, żeby sobie dorobić, czemu by zatem z tego nie skorzystać?

– Racja.

Justin wyszedł na chwilę i wrócił do pomieszczenia z pilotem. Kliknęła coś na nim i klimatyzacja, którą miałam za plecami, piknęła cicho, a chłodny powiew musnął mi plecy.

– Skieruj na sufit, chyba że chcesz, żebym dostała... – Zupełnie nie wiedziałam, jak powiedzieć po angielsku „korzonki”. Wskazałam palcem na dół pleców.

– Zapalenia nerwu kulszowego?

– O to, to! – Zaśmiałam się, ustawiając szklanki. – Mój angielski jest trochę ograniczony, ale uczę się coraz więcej. Wybacz, jeśli od czasu do czasu zamiast nazwy przedmiotu usłyszysz to lub tamto.

– Spoko, nie przeszkadza mi to. Słyszałem gorsze rzeczy.

– Naprawdę?

Sięgnęłam po tabletkę do zmywarki, którą znalazłam pod zlewem.

– Simon i ja mamy firmę budowlaną. Zatrudniamy ludzi z całego świata. Różne języki, akcenty i poziomy znajomości angielskiego.

– To wyjaśnia, dlaczego odebrał mnie w roboczym stroju. – Spojrzałam na Justina, nie wiedząc, co przycisnąć, żeby zmywarka ruszyła. – Jaki program wybrać?

– Duży biały guzik z napisem „start”. Mimo posiadania wielu różnych bajeranckich ustawień zawsze korzystam z jednego.

Ostentacyjnie przycisnęłam go i zamknęłam drzwiczki. Pozostałe naczyńia ustawiłam w zlewie, a sztucce rzuciłam na suszarkę. Kuchnię planowałam zrobić jako ostatnią.

– Zorientowałem się w szpitalu, że nie zdążę cię odebrać, i poprosiłem brata, ale wyrwałem go z budowy.

– Nie był zbyt zadowolony.

– Powiedzmy, że ta konkretna budowa jest jakaś przeklęta i wiecznie coś tam idzie nie tak. A to majster ogląda plany do góry nogami, ktoś inny – wskazał na siebie – spada z drabiny. Zamówione materiały przyjeżdżają nie takie, jak potrzeba. Komedial.

Podążył za mną do pomieszczenia gospodarczego.

– Chcesz, żebym ci najpierw odkurzyła czy sprzątnęła łazienki?

– Ach, łazieeenki... – przeciągnął głoski, odstawiając butelkę na blat.

Całość mieszkania została nieco przerobiona, a ściany poprzestawiane. Zamiast dwóch pokoi był jeden z prywatną łazienką oraz dodatkowa dla gości. Ciemne drewno w sypialni i ogromne łóżko trochę mnie zdeprymowały. *Może źle odczytałam sygnały i chodziło mu o coś innego?*

W łazience panował chaos. Wałające się po podłodze ręczniki, piętrzące się przed koszem i na koszu ubrania. Poniewierające się skarpetki.

– Ale z ciebie bałaganiarz – rzuciłam żartobliwie.

– Mam inne zalety – wyszeptał mi do ucha.

– Mam nadzieję, bo żadna kobieta nie będzie sprzątać bajzlu.

– Nie jestem bałaganiarzem – zastrzegł, pokazując na gips. – Jestem kontuzjowany.

Uniosłam brwi, schylając się po ręczniki.

– I to ci przeszkadza lewą ręką sięgnąć po rzeczy i wepchnąć je do pralki?

– Bałem się, że z odruchu powieszę je na prawej.

– Żałosna wymówka.

– Może lubię patrzeć? – Śmiesznie poruszył brwiami.

Parsknęłam wesoło, czując, jak stosik ręczników rośnie. Wepchnęłam je do kosza i ruszyłam do pomieszczenia gospodarczego, w którym widziałam pralkę. Załadowałam ją w trzech czwartych.

– Masz jeszcze jakieś ręczniki do prania?

– Zajrzyj do sypialni Simona.

Zerknęłam na niego przez ramię, po czym podniosłam się z klęczek po dodaniu granulek zapachowych i płynu do płukania oraz kapsułki.

- Simon tu mieszka?
- Czasami zostaje na noc.
- Zerknę, bo szkoda prać, jak jeszcze jest miejsce.

Ta sypialnia była zdecydowanie inna. Jasna, utrzymana w tonacji zieleni i błękitów. Trudno było określić, czy mieszkał tam facet, czy kobieta, czy raczej para. Znowu ogromne łóżko, nawet większe niż moje w Polsce. Panował tu idealny porządek, jedynie na komodzie leżały jakieś monety, dając znać, że sypialnia ma lokatora. W łazience zajrzałam do obu koszy. W jednym znalazłam ciuchy, w drugim złożone ręczniki.

Niebo a ziemia.

- Niech zgadnę – zażartował Justin, kiedy wróciłam do jego łazienki. – Podobał ci się idealny ład u braciszka?

Uklękałam przed piętrzącymi się ubraniami, by posegregować osobno ciemne i jasne.

- Tak i jestem w stanie zrozumieć, czemu Zoe nie chciała tej fuchy, mimo iż zaproponowałeś stówkę. Za segregowanie brudnej bielizny, nawet w rękawiczkach, żądam ekstra kasy.

- Ekstra kasa to może i być, ale za coś innego.

Uśmiechnęłam się pod nosem, ale w taki sposób, że podniosły mi się włosy na karku. *Czy on sugeruje...?* Rzuciłam mu zniesmaczone spojrzenie przez ramię i udawałam, że nie rozumiem. Najlepiej dowiedzieć się u źródła, co autor słów miał na myśli, a potem grzecznie odmówić.

Czy ciocia wie, co tu się dzieje?

- Czemu Zoe nie chciała tej stówki?

- Oto pytanie za stówkę – odparł rozbawiony.

Myślałam, że żartuje, ale wyglądało, że nie.

- Czyli w sumie dwie, jak zgadnę?

- Można zarobić więcej, a przy tym się nie narobić – zasugerował dwuznacznie.

Może mój mózg działał jednotorowo, ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Odwalasz w łóżku całą robotę, a partnerka ma leżeć i pachnieć? – wypaliłam. – Cóż, nie pachnę różami i wyglądam, jak wyglądam. Spocona i brudna.

– A fe! Sisi! Gdzie pognał twój mózg?

– Jest zaintrygowany, czemu Zoe nie chciała większego wynagrodzenia – wyjaśniłam, wrzucając ostatnią ciemną koszulkę do kosza. – Wiedziała, że tego syfu nie ogarnie w dwie godziny?

Zzerała mnie ciekawość, a Justin milczał. I tak byłam im winna przysługę za odbiór z lotniska, a kasa za sprzątanie to w sumie tylko wirtualna i nierealna obietnica. I nielegalna! Nie powinnam jej przyjmować i nie zamierzałam, chociaż bardzo, bardzo pragnęłam.

Uruchomiłam drugą pralkę, w której znajdowały się ciemne rzeczy oraz posegregowana bielizna w specjalnym worku. Zerknęłam podejrzliwie na odkurzacz w stacji dokującej.

– Powiesz mi, czy potrzebuję licencji pilota, żeby obsłużyć ten sprzęt?

– Nie.

Ściągnął urządzenie ze ściany. Po uruchomieniu pracowało naprawdę cicho.

– Nie wygodniej użyć odkurzacza samojezdnego?

– Nie dawał rady na różnicy poziomów i trzeba go było ratować z opresji, bo wysłał informacje na telefon, że znajduje się na krawędzi klifu.

Do dużej miski po praniu wrzuciłam środki do sprzątnięcia łazienki, obiecując sobie solennie, że nie zapytam ponownie o Zoe. Justin zostawił mnie samą, gdy zaczęłam szorować kibel. Pół godziny później łazienka lśniła czystością, a mi pot ciekł po plecach. Koszulka z przodu nosiła plamy od ciągłego wycierania czoła.

Przysiadłam na piętach, dywagując, czy ją zdjąć i zostać tylko w sportowym staniku, bardziej zabudowanym niż bikini, czy dalej się pocić. Ciska musiała zwabić mojego „chlebowdawcę”. Pojawił się z butelką zimnego Calypso w ręku. Wypiłam całość duszkiem, wachlując się koszulką. Oblizyłam usta z kropli kwaśnego napoju.

– Będzie ci przeszkadzało, jak zdejmę koszulkę? Potwornie mi gorąco.

– Nie, spoko. – Patrzył na mnie z zainteresowaniem, gdy sięgnęłam do rąbka. Przeciągnęłam uważnie materiał przez głowę, by nie rozwalić fryzury. – I nie muszę ci płacić za to, żebyś się rozebrała.

Zamarłam w pół ruchu.

– Przepraszam?

– Zanim się zapowietrzysz – rzucił z rozbawieniem – powiem ci, że nie miałem nic złego na myśli.

– To co miałeś na myśli? – Otarłam koszulką pot z brzucha.

– Zoe zna mój fetysz – przyznał enigmatycznie.

– Lubisz patrzeć na spocone kobiety z niechlujną fryzurą, które pachną środkami czystości, szorując ci kibel?

Spojrzał na mnie z uśmiechem i błyskiem w oku.

– Zmodyfikuj trochę tę wizję i będziesz mieć odpowiedź.

Przechyliłam głowę na bok. Coś szalonego przyszło mi na myśl. Mogłam się mylić, ale mogłam też mieć rację.

– Czy jak zgadnę, zapłacisz podwójnie? – spytałam podchwytliwie.

Uniósł brew, uśmiechając się wieloznacznie.

– Nawet potrójnie, jeśli chcesz sobie dorobić.

Kuszące, ale chyba nie jestem aż tak odważna. I zdesperowana.

Na razie ledwo zbierałam się w sobie, by wypowiedzieć na głos te parę słów. Zachęcił mnie gestem, patrząc z zainteresowaniem.

– Czyżbyś lubił, gdy kobieta sprząta w stroju Ewy?

– Bingo!

Ciekawy sposób na zarobek. Do tego zajebicie płatny. Tylko szkoda, że pewnie jest do niego dołączony niepożądany element dotykania lub seksu.

– Zaszokowana?

Podniosłam na niego oczy, bo najwidoczniej się zawiesiłam.

– Nie bardzo, ale nie skorzystam. Stówka jest naprawdę okej. Nie sądzę, żeby było mnie stać na sprzedanie swojego ciała w ten sposób.

Zmarszczył brwi.

– Nie proponuję ci seksu, a jedynie sprzątanie... w stroju Ewy.

– Jasne... tylko potem tak wychodzi.

– Na końcu bierzesz prysznic i idziesz do siebie. – Jego stanowczy ton był całkiem przekonujący. – Nie podnieca mnie pieprzenie pokojówki, a jedynie patrzeć na nagie, wyginające się ciało.

– I kto potem zajmie się twoim problemem?

– Mam sprawną lewą rękę.

Spojrzałam na niego podejrzliwie, podnosząc się z klęczek. Syknęłam, łapiąc się za biodro pod falą bólu. Justin podszedł bliżej, ale powstrzymałam go gestem.

– Chciałem pomóc.

W jego głosie zabrzmiała delikatna pretensja.

– Nie chodzi o temat, na jaki rozmawiamy, a o biodro. Muszę się sama wyprostować, żeby nie zrobić sobie większej krzywdy.

– Chcesz coś przeciwbólowego?

– Masz ibuprofen?

– Tylko paracetamol.

– A poszedłbyś do cioci na dół? Ona ma taki z dodatkami na artretyzm.

– Jasne, zaraz wracam.

Postawił butelkę na blacie umywalki, dając mi przestrzeń, żebym w spokoju pocierpiała, prostując kręgosłup. Parę łez spłynęło po policzkach, zanim stanęłam o własnych siłach. Nawet zdążyłam przemieścić się do kuchni, kiedy wpadł do środka z blistrem tabletek.

– Cristina sugeruje, żebyś może się już nie wygłupiała i skończyła na dzisiaj.

Zabrałam mu pigułki, dwie wrzuciłam do ust i popiłam wodą z kranu. *Najwyżej dostanę sraczki, ale ciocia twierdziła, że woda tutaj jest smaczna i bezpieczna.* W smaku jak woda – bezsmakowa, podobna do niczego.

– Nic mi nie będzie, a ja bardzo, bardzo pragnę tej stówki – zażartowałam. – To artretyzm, nic nie poradzisz na ból poza rozgrzewaniem czy lekami przeciwbólowymi.

– Jesteś pewna?

– Tak samo jak tego, że nie chcę sprzątać *topless*.

– Nie zmuszam, ale lubię.

Ramiona mi opadły.

– Justin! – jęknęłam, wycierając blat mokrymi chusteczkami. – Ani ja ładna, ani biuściasta, a jeszcze w pakiecie dostałam płaski tyłek oraz brak talii. Miej litość.

– A ja myślę, że problem jest w głowie.

– Za dużo myślę? – podsunęłam ironicznie.

– Kobieta jest tak piękna, na ile mężczyzna uznaje, że taka jest. Może sobie patrzeć w lustro i sądzić, że podbije każde męskie serce lub fiuta, ale prawdą jest, że...

– Każda potwora znajdzie swojego amatora? W sensie piękny bestię lub bestia pięknego?

– Coś w ten deseń.

– Nie ukrywam, że jesteś przystojny i miły dla oka, aleee...

– Nie na tyle, by to zdjąć? – Żartobliwie pociągnął za ramiączko stanika, a materiał przesunął się, podrażniając pierś.

– Nawet nie w połowie.

Zrobił smutną minę, a ja puściłam mu oko, sprawdzając na panelu zmywarki, ile jeszcze zostało do końca programu. Miałam dwadzieścia minut, które spędziłam na odkurzaniu paneli i dywanów.